

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.
Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. **Kraków, 15 maja 1915.** **Nr. 20.**

Oswobodzony Tarnów.



Ogólny widok Tarnowa.

Oswobodzony Tarnów.

Część zachodniej Galicyi, od kilku już miesięcy wydana na łup inwazyi rosyjskiej, nareszcie odetchnęła. Śmiała ofenzywa wojsk sprzymierzonych i przełamanie linii Dunajca, o czem piszemy na innem miejscu, zmusiły Rosyan do panicznej ucieczki z całego szeregu miast i miasteczek, a między innemi i z Tarnowa, gdzie Rosyanie gospodarowali prawie sześć miesięcy, a byli tak pewni, iż się stamtąd nie ruszą, że rządzili się, jak u siebie w domu.

Na dany znak rzuciły się bataliony austryackiej i niemieckiej piechoty szturmem na górę św. Marcina. Siła ataku była druzgocącą. Pomimo zaciętej obrony — wróg uległ, ustępując z „niezdobytej" góry.

Ludność tarnowska, która wbrew pogłoskom w wielkiej liczbie pozostała w mieście, z zapartym oddechem śledziła przebieg bitwy w okolicach miasta. Wszystkie wzgórza na południe i na zachód od Tarnowa zionęły strasznym ogniem artyleryjskim. Ciężkie czterdziestodwu centymetrowe działa siały okropne zniszczenie, ryjąc ogromne doły.

Od samego początku walki była taka przewaga po stronie naszej, że Rosyanie byli z góry skazani na przegraną. Wzgórza pod Tarnowem pokryły się wałami trupów rosyjskich, których Rosyanie, cofając się, nie zdołali pochować. Opróżnienie Tarnowa rozpoczęło się 3 maja i trwało przez trzy dni.

Pierwsze patrole strzelców tyrolskich ukazały się na ulicach Tarnowa we czwartek dnia 6 b. m. o godzinie piątej rano. Tłumy wyległy na ulice, mnóstwo osób wyszło za miasto — na spotkanie z naszemi wojskami.

Na ulicach Krakowskiej i Wałowej panował ogromny ruch. Publiczność tworzyła po obu stronach ulic szpalery, witając nadciągające wojska. W ciągu godziny całe miasteczko udekorowane było gęstym lasem chorągwi o narodowych i państwowych barwach. Przez miasto szły nieprzerwanie oddziały wojsk w pościgu za uchodzącym nieprzyjacielem. W całem mieście panowała ogólna radość. Wielu rzucało się żołnierzom w ramiona i całowało ich, jak swoje dzieci.



Dworzec kolejowy.



Rynek z ratuszem.

Oswobodzony Tarnów:

Ogromna przewaga artyleryi niemieckiej i austryackiej wywołała zaraz przy pierwszym szturmie na Tarnów zamieszanie i popłoch w armii rosyjskiej. Ufortyfikowane pozycye Rosyan w okolicach Tarnowa, a zwłaszcza na górze św. Marcina, uważane były przez nich za nie do zdobycia. Góra św. Marcina, która wysokością i objętością dominuje nad całą okolicą — stanowiła pewnego rodzaju cud techniki obronnej, ale przeciwko tej twierdzy na przestrzeni trzech kilometrów skierowano morderczy ogień austryackiej ciężkiej artyleryi w ilości 90 armat. Całą noc trwała ta gigantyczna walka, od huku której drżała w posadach ziemia, a nad ranem rosyjska artylerya była już nie zdolną do dalszej walki.

Wszelkie pogłoski o wielkiem zniszczeniu Tarnowa okazały się na szczęście wielce przesadnemi. Miasto ma na ogół wygląd zupełnie normalny. Najwięcej ucierpiał od pocisków armatnich gmach osobowego dworca kolejowego. Prócz tego zostało uszkodzonych granatami kilka domów, a mianowicie: Förstera przy ulicy Chyszowskiej, Schudmanka przy ulicy Pocztowej, szkoła realna i szkoła im. Staszyca. Po mieście widać gdzieniegdzie okna bez szyb i dużo rozebranych na opał parkanów, zresztą nie ma śladów większego spustoszenia.

Z ludności cywilnej podczas długiego ostrzeliwania miasta kilkanaście osób zostało zabitych i rannych. Nie sprawdziły się jednak na szczęście pogłoski o epidemiach, panujących w Tarnowie podczas inwazyi rosyjskiej. Były wprawdzie wypadki cholery, dysenteryi, ospy i tyfusu, nie przybierały



Oswobodzony Tarnów: Ulica Wałowa.

jednak bynajmniej większych rozmiarów groźnej epidemii.

Brak żywności dał się odczuwać tylko w czasie ofenzywy na Kraków, gdyż wtedy wszystkie za pasy miejskie zarekwirowano dla armii rosyjskiej. Wkrótce jednak Rosyanie założyli w Tarnowie wielkie magazyny żywności, przybyli nadto kupcy rosyjscy z mąką, słoniną i innemi zapasami.

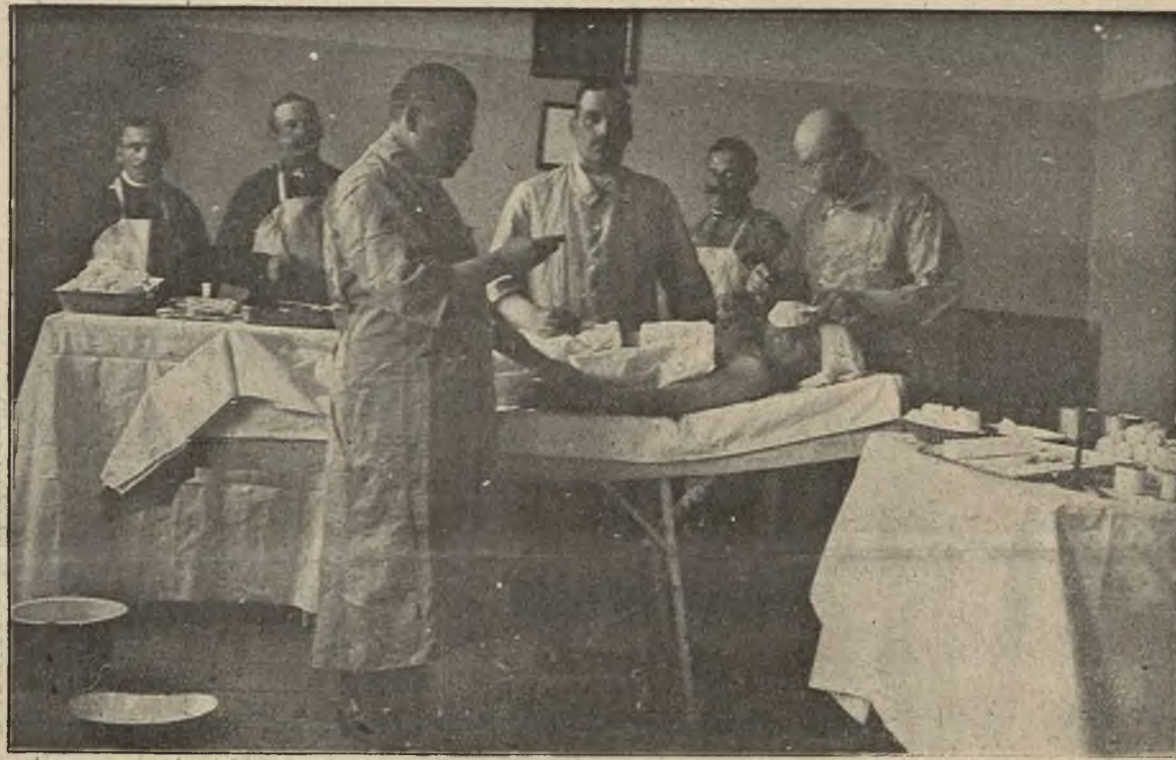
Rosyanie tak szybko uciekali z Tarnowa, że nie zdołali wywieźć olbrzymich zapasów żywności, jakie sprowadzili, ale uciekając, podpalali magazyny żywnościowe, ludność jednak pożary ugasiła i zapasy uratowała.

Podczas inwazyi rosyjskiej zarząd miasta reprezentowali oprócz burmistrza Tertila, trzej asesorowie, pp. Rypuszyński, Szubert i Brach oraz ks. Górka, p. Michalski i p. Szatko.

Komenda naczelna rosyjska stała kwaterą w Gumniskach, w pałacu ks. Sanguszków. Komendantem był jen. Dragomirow. W mieście i okolicy obozowało stale około 20 - 30 tysięcy wojska. Przybyła do Tarnowa również i... „ochrana", która gorliwie pracowała, urządzając rewizye wśród mieszkańców. Podejrzliwość jej zwracała się także i przeciw duchowieństwu. Ks. Rec, z powodu listu, wysłanego przez posłańca do rodziny, został wywieziony do Radomyśla.

Najbardziej ciężkie jednak chwile przeżywała ludność żydowska, która padała ciągle ofiarą rabunków kozackich, a przytem pędzono ją z domów do robót. Zabrano też z Tarnowa trzydziestu żydowskich zakładników i wysłano w głąb Rosyi.

Obecnie Tarnów, uwolniony z pod jarzma rosyjskiego, zaczął znowu żyć swem normalnem życiem. Z tej okazyi zamieszczamy szereg widoków z tego starodawnego miasta, które w obecnej wojnie przechodzi tak zmienne koleje.



Z naszego wojennego szpitalnictwa: Lekarze przy pracy w sali operacyjnej ruchomego szpitala rezerwowego 1/11.



Z naszego wojennego szpitalnictwa: Ochronne szczepienie oficerów przeciw ospie w ruch. szpitalu rezerw. 1/11.



Z naszego wojennego szpitalnictwa: Sala chorych ruchomego szpitala rezerwowego 1/11. Lekarz pułkowy dr. Kocwa (1) i lekarz asystent dr. Knopf (2) przy wizycie lekarskiej.

Pogrom Rosyan w Galicyi zachodniej.

Niezwykły sukces wojsk sprzymierzonych w Galicyi zachodniej ma bardzo doniosłe znaczenie dla całego przebiegu operacyi wojennych na terenie południowo wschodnim. Przełamanie linii Dunajca, gdzie Rosyanie tak się ufortyfikowali, że, zdaniem ich, pozycye ich były niezdobyte, pokrzyżowało wszystkie plany rosyjskie i unicestwiło wszystkie dotychczasowe sukcesy armii rosyjskiej.



Oswobodzony Tarnów: Kościół na górze św. Marcina

W ciągu kilku dni zwycięskie armie opróżniły z nieprzyjaciela znaczną część Galicyi zachodniej i zajęły Tarnów, Gorlice, Jasło, Duklę, Krosno, Dębicę, Szczucin i inne miasta, gdzie Rosyanie uważali się za gospodarzy.

Ta niespodziewana, a tak druzgocząca ofenzywa wojsk sprzymierzonych nie tylko rozgromiła walczącą z niemi armię rosyjską, ale zmusiła także inne armie rosyjskie, operujące w Karpatach, do szybkiego odwrotu. W ten sposób Rosyanie, którzy z takiemi olbrzymiemi stratami parli w Karpaty, gdzie każdą piędź ziemi okupywali stosami trupów, musieli sami wyrzec się tych, tak krwawo osiągniętych zdobyczy i uciekać przed osaczeniem.

Obecnie walki trwają w dalszym ciągu, a nieprzyjaciel, choć miejscami stawia zaciekły opór, został wszędzie zmuszony do odwrotu. Panowanie Ro-



Z naszego wojennego szpitalnictwa: Ruchomy szpital rezerwowy 1/11 w budynku szkolnym w zachodniej Galicyi.

syan w Galicyi coraz bardziej się kurczy, a obecny ich pogrom wróży rychły, a zupełny jego koniec.

Z naszego wojennego szpitalnictwa.

W uzupełnieniu poprzednich artykułów, w których omawialiśmy stosunki, panujące w różnych szpitalach polowych i fortecznych, rozrzuconych po całym prawie kraju, podajemy dziś szereg zdjęć, odnoszących się do ruchomego szpitala rezerwowego 1/11.

Jest on pomieszczony w budynku szkolnym jednej z miejscowości Galicyi Zachodniej, niezbyt daleko od terenu stoczonych niedawno walk, a pozostaje pod sprężystem a umiejętnem kierownictwem lekarza pułkowego, dra Kocwy, któremu pomagają gorliwie lekarze asystenci: dr. Knopf i inni.

Tak, jak każdy tego rodzaju zakład, i szpital 1/11 zaopatrzony jest we wszystko, czego wymaga wiedza lekarska, posiada wzorowo urządzoną aptekę polną i laboratoryum chemiczne, przeprowadzono też tutaj cały szereg zabiegów, przeważnie z bardzo dodatnim wynikiem.

Illustracye zamieszczone w niniejszym numerze przedstawiają reprodukcye zdjęć fotograficznych, z których każdy Czytelnik łatwo zrozumie, jak ciężko pracować muszą tu lekarze i ich pomocnicy, mając do czynienia z wszelkiemi rodzajami słabości, tak wewnętrznych jak i chirurgicznych. Ubikacye szkolne, mające inne przeznaczenie, nie zawsze nadają się na urządzenie szpitala, tu przecież potrafiono zastosować się do miejsca, nie brak też pełnych światła i powietrza sal dla chorych, wygodnej sali operacyjnej i innych koniecznych ubikacyi. Pokonano trudności, na jakie natrafiono, od polowego szpitala ruchomego trudno przecież wymagać, by posiadał wszystko tak urządzone, jak szpital stały.

Ze zaś wszystko idzie tutaj tak składnie, zasługa w tem główna komendanta szpitala, dra Kocwy



Oswobodzony Tarnów: Kościół X. X. Misyonarzy.

i całego personalu pomocniczego, o którym z czystem sumieniem można powiedzieć, iż szczerze, gorliwie i z całem poświęceniem i zaparciem się pełni swe ciężkie obowiązki, by tylko ulżyć cierpień nieszczęśliwym chorym i rannym.



Oswobodzony Tarnów: Ulica Wielkie schody.



Z naszego wojennego szpitalnictwa: Lekarze i oficerowie ruchomego szpitala rezerwowego 1/11 przed wejściem do budynku szpitalnego.

JÓZEF LASOŃ.

WIERNY PRZYJACIEL.

(Ze wspomnień Legionisty).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

XII.

Wypędzone ze spalonych ludzkich sadyb, włóczyły się psy gromadnie po polach, póki na wieś jaką nie natrafiły, w której mogły by się ostać. Lecz i stąd je przepędzano. Każda chata prawie miała swojego Burka, czy Mruczka, który, uwiązany na łańcuchu, groźnie szczerzył zęby do zbliżających się, rzekłbym swawolnie, poszukujących posad stróżów domu. Odpędzone od chat, w dnie koło wioski krążyły stada psów, jakby gromady krwiożerczych wilków, żywiąc się po części padliną końską, której w okolicach dotkniętych wojną nie brakowało. Odpędzone od istot ludzkich, coraz bardziej dziczały i stawały się niebezpieczne, tak dla drobiu gospodarczego, jak i również dla ludzi. Nocą, zmuszone głodem, ukradkiem podciągały pod zamieszkałe wsie, czekając, póki światła w oknach nie pogasną. Wówczas dobierały się do drobiu, czasami udało im się wglądnąć w spiżarkę gospodarza, połeć słoniny wywlec za chatę i tam wespół z innymi zgłodniałymi żołądki nasycić. Bracia ich łańcuchowi warczeli czasem na nich, wyszczerzali białe kły, ale bądź co bądź, poznawszy w nich swoją rasę, z obowiązku tylko niektóry łańcuchowy warknął, zaszczekał głośno, poczem pokręciwszy ogonem, wsunął się z powrotem do budy. — Inna rzecz byłaby z kotem lub z innem jakiemkolwiek stworzeniem, kręcącem się koło chaty. Wówczasby Burki i Mruczki całą umiejętność swojego głosu skierowałyby na „podejrzanego“, który ośmiela się nocą wglądać pod chatę. Wnet jednakże spostrzegli się ludzie na psiskofilskiem usposobieniu swoich stróżów, spiżarki i drób dobrze na noc zamykali, za najmniejszym szmerem koło chaty wybiegali z drągami, zabijając rozpanoszonych szkodników. Jednakże, jak „wilka natura ciągnie do lasu“, tak psa do chaty ludzkiej. I przytułek, i ochłap zawsze się znajdzie w domu jakiś, przytem pies wie, że należy do kogoś, a ten ktoś znowu wie, że ma psa. Jednakże wojna rozluźniła ten harmonijny węzeł, ludzie ze spalonych i zburzonych chat resztki dorobku unosząc, uciekli, psy zaś pozostawione swojemu losowi, szukały osad ludzkich, odpędzone stamtąd, włóczyć się poczęły, dziczeć, przemieniać powoli w krwiożercze zwierzęta.

. . . .

Pierwsze takie stado ujrzałem na Węgrzech, w październiku, podczas marszu z Huszt do Dolby. Rankiem przejeżdżaliśmy przez wioskę położoną pomiędzy Huszt a Lipto, prawie że w połowie drogi. Przeciągaliśmy przez opustoszałą wieś. Miało się wrażenie, że kraj to wymarły, lub dżumą nawiedzony, co żywe było, z wioski wybiegło. Deskami drzwi i okna pozabijane, wyglądały raczej na kostnice z ciałami umarlych, którym przez ostatnie chwile pobytu na ziemi trzeba dać kir żałobny, a nie jasne promienie słoneczne, niż na domy mieszkalne. Nasi żołnierze, spryciarze, zaraz mnie poinformowali, że tu ani gęsi, ani kaczki, ani ludzi żadnych niema, bo oni byli chcieli się „pożyczyć“, albo kupić coś od ludzi z tego towaru. Kilka domków spalonych, pośród wsi sterczały zgliszcza, przygaszone nocą ulewnym deszczem, sprawiały wrażenie rozwalonych nagrobków na starym cmentarzu. Gdzieniegdzie jeszcze późną jesienią rozkwitły kwiat koło domku rósł, cebuli ukazywała się grządka, długolistnego chrzanu, na pół zmarzła „główka“ kapusty. Rozwalony parkan przy ogródku warzywnym wskazywał, że oknami ktoś wchodził do domu, bez potrzeby rozwalił szyby w oknach, a jak wściekły zwierz, szukając kogoś, by się zemścić, znalazł coś, pozostawione sprzęty, całego życia uciekinierów majątek i dorobek, kupiony w krwawicy, bezmyślnie zniszczył, połamał, wyrzucił przez okno na potratowane grządki. Ten ktoś, to kozak najeźdźca, którego dziełem jest bezmyślna srogość i dzikość na martwych rzeczach. Czy temu barbarzyńcy — nieraz pomyślałem — nigdy na myśl nie przyszło lub nie przyjdzie, po co i na co to zrobił? Koło niektórych chat pierzyny, co chłop z babą pod nią „ligał“, w kałuży błotnej leżały, przez rozprutą podszewkę wiatr wybierał pierze i puch i wokoło rozrzucał go, jakby duże płatki śnieżne, które przyprószyły zczerniałe kałuże błota. Zaraz za wsią pola kukurudzą obrosłe ciągły się, pożółkłe łodygi pochylały się ku ziemi pod ciężarem szyszek z ziarnami. Przy drodze pole z koniczyną nieskoszoną jeszcze zieleniło się i jaskrawo odbijało od otaczających go wokoło żółtych badyli kukurudzianych.

Łoskot ciągnącego trenu, krzyki żołnierzy, wypłoszyły wylegujące się pomiędzy budynkami psy. Zawył, zaszczekał jeden, odpowiedziały mu inne i przebiegły w potężnych skokach przez łąkę z koniczyną. Było ich sześć, a może siedm. Kudłaty, biały pudel, wielkości wilka wyróżniał się z pośród tej gromady. Reszta psów, to mieszańce wyżłów, owczarskich pasterzy, a nawet jeden okaziciel rasy jamnikowej się znalazł, który, jak maruder ucieszenie skacząc, za towarzyszami w tyle podążał. Krzywe jego łapy z trudnością przedzierały się pomiędzy zwalonymi miejscami badylami, a brunatna sierść przypominała skocznego zająca.

Ow biały pudel, który może dawniej w dworze jakimś przebywał, w dostatkach żywot pędził, wyuczonemi sztuczkami bawił właściciela, „dowódcą“ zdaje się został tej gromady, bo gdy w przyzwoitej odległości zatrzymał się, usiadł na tylnych łapach i łeb swój kudłaty w stronę przeciągających drogą żołnierzy skierował, przystanęli towarzysze jego — i rzekłbym — jakby na komendę łby swoje ciekawie w stronę naszą skierowały.

Przystanąłem na chwilę, cmoknąłem wargami, usiłowałem je przywołać. W odpowiedzi zaszczekał pudel, zawtórowały mu piskliwe głosy gromady, jamnik zaś pomerdał mordeczką, jakby chciał rzec: „Boimy się was!“. Swawolny żołnierz rzucił kamieniem w gromadę psów, zawyły przeciągle i w badylach znikły. Ruszyłem na czoło trenu, zapominając już o tych psach. Jednakże psy poczuły zapach świeżo poćwiartowanego mięsa krowiego, które wieźliśmy na wozach i trzymając się zdala trenu, poczęły maszerować z nami. Jeśli zatrzymany tren stanął, oglądaliśmy się wokoło, czy psy idą za nami. Wówczas i pudel zatrzymywał swoją gromadę, spoglądając uporczywie w naszą stronę. Tak zeszło do południa. Koło południa rozpalono ogniska na zacisznej polance, kucharze poczęli gotować strawę. Psy usiadły na małym pagórku, czasami niecierpliwie kręcąc się, kiedy ich doleciał zapach gotującego się mięsa. Odpadki mięsa i kości zebrał jeden z pomocników kucharzy i podchodząc do pagórka, rzucił wyczekującym zwierzętom. Umknęły na widok zbliżającego się żołnierza, lecz po chwili podbiegły ku kościom, ogryzając je łapczywie. Zbiedzone i wynędzniałe były. Niektórym żebra przez skórę z wypłowiałą sierścią wyglądały, ogony opadłe ku ziemi świadczyły o niewesołem ich usposobieniu. Gryząc się, wzajemnie wydzierały sobie kłami rzucone kości, podejrzliwie patrząc na żołnierzy, czy nie zamierzają wyrządzić im krzywdy.

Po odmarszu z polanki rzuciły się na przygasłe ogniska, węsząc, wynajdywały wokoło rzucone kawałki niedogotowanego mięsa. Przez lornetkę obserwowałem uganiającą po polanie gromadę. Duży, cegłaty wyrzeł tarmosił krzywonożnego jamnika, wydzierając mu z mordy kawał żylastego mięsa. Pudel uciekając przed goniącymi go „owczarzami“, wpadł w kałużę błota, wydobywszy się stamtąd, do pyska aż żółtym iłem oblepiony, pociesznie wyglądał. Pozostałe węszyły w trawie, szukając odpadków.

Nocą staliśmy na wypoczynku pod L. Batalion wmaszerował w wioskę, tren pozostał przed wioską. Pozostali przy trenie żołnierze, mający wartę, reszta do chat wcisnęła się, aby się przez chwilę ogrzać i w ciepłym kąciku podrzemać. Ciemno było, księżyc ukrył się gdzieś za chmury, przytem mgła zimna, przejmująca. Gromada psów, która aż tutaj dotarła za trenem, korzystając z ciemnej nocy, zwabiona zapachem świeżego mięsa, cicho, podstępnie dotarła do wozów i poczęła obżerać surowe mięso. Byłoby im to uszło płazem, niestety, niezgoda zdradziła ich. Gryźć się poczęły między sobą, co wartującego żołnierza Bastgena doprowadziło do odkrycia napadu. Wspólnie z drugim żołnierzem podeszli do wozu i niespodzianie uderzyli kolbami karabinów w gromadę psów. Wyjąc, w trwodze uciekły, jednakże mały jamnik zabity został uderzeniem kolby, pudel zaś pozostał ogłuszony przy wozie. Dwie ćwiartki wołu wyrzucić trzeba było, tak poszarpały je dokoła.

Bastgen trącił kolbą pudla — zawył. Ogłuszony był uderzeniem, a przytem prawą przednią łapę miał złamaną. Już drugi z wartowników błyszczący bagnet skierował w brzuch psa, ale powstrzymał go Bastgen, mówiąc:

— Zostaw go, ja wykuruję pudla. popatrz jaka bestya ładna, tylko wynędzniała i uwalana w błocie. Slepie ma mądre — pociechę będziemy mieli z niego przy kompanii.

Przy zmianie warty, Bastgen zabrał psa do kwatery, obmył mu łapę, w deseczki dwie ujął i obandażował. Początkowo pudel warczał groźnie, jednakże bandaż przekonał go o dobrych zamiarach Bastgena. Niespodzianie tedy, gdy Bastgen obwijał mu łapę, długim, czerwonym jęzorem polizał go po policzku. Poczem ręce począł mu starannie oblizywać, dając dowód wdzięczności. Wymyty w potoku, osuszał się posadzony w chacie przy kominku. Poczęto mu znosić chleb, cukier, który łapczywie brał, kręcąc z zadowolenia puszystym ogonem.

Z chwilą dalszego wymarszu, na wóz z mundurami wsadził go Bastgen, pootulał w szmaty, tak, że tylko wielki, kudłaty łeb wyglądał ze środka. Mroczkowski zobaczywszy psa, spytał:

— Cóż to? Cóż ten pies tu robi?

— Obywatelu komendancie! — Bastgen zasalutował — To mój przyjaciel. Złamaną ma nogę, na razie więc jedzie!

— To wy jesteście psi kolega!? He... he... he...

— Niby nie, tylko tak mi się wyrwało. Chciałem powiedzieć, że to mój pies!

— No, dobrze już, dobrze! Tylko ukryjcie go przed wzrokiem kapitana lub adjutanta, bo wam waszego przyjaciela do stu dyabłów wyrzuci.

Dano mu nazwę „Cezara“. Dobrze odżywiany i pielęgnowany, wkrótce przyszedł zupełnie do zdrowia. Łapa była tylko zwichnięta i po kilku dniach dobrze już mógł biegać. Sierść odczyszczona z brudu, białą się stała jak puch. W oliwkowych jego oczach błyszczał spryt i zmyślność, cechująca właśnie rasę pudlów. Zaraz na pierwszej kwaterze rozpoczęto go uczyć sztuczek, ale okazało się, że już „wykształcenie smorgońskie“ częściowo odebrał. Chodził na tylnych łapach, podstawiony kij przeskakiwał, co mu było dać w pysku niósł, słowem, jak na pudla, to wstępne wykształcenie miał dobre.

Pudel znalazł służbę. Wprawdzie cięższą ta służba była, niźli w czasach pokoju, w dworze szlachcica lub szlagona — w każdym razie ślepia i jego ustawiczne merdanie ogonem wyrażały zadowolenie z obecnego położenia.

Nastały deszcze. Obmokłe psisko wlekło się koło wozów, zachlapane błotem, uwalane w kałużach iłu i gliny. Oblepiony taką przerozmaitą masą, wyglądał jak obdarty włóczęga bezdomny, którego łóżkiem — rynsztok uliczny.

Przywiązał się do świeżego chlebodawcy Bastgena, swą psią miłość i przywiązanie w rozmaity okazując sposób. Na krok nie odstąpił od niego, włócząc się za nim, łasząc się wiecznie. Oliwkowemi ślepiami czule patrzał mu w oczy.

Zimną nieraz nocą, kiedy w marszu postój był dłuższy, tabor na drodze stanął, w rowach i obok spoczywali żołnierze, niejeden śmiertelnie strudzony, kamiennym snem zaraz zasypiał, koło leżącego Bastgena wyciągało się olbrzymie psisko, trzęsące się od zimna.

Smiali się towarzysze broni, mówiąc:

— He... he... he... przyjaciele.

Zmarznięte policzki uśpionego żołnierza polizał czerwonym, długim ozorem, sapnął parę razy i wtulając łeb, z wiecznie zimnym nosem, pod ramię śpiącego, zdawał się zasypiać.

Ale niech jeno kto próbował poruszyć Bastgena, lub przeszukiwać mu plecak, zaraz sapiący pysk na wierzch wydobył, ostre pokazując zęby, warczał groźnie, ostrzegał przed atakiem, poczem rzucał się na człeka, który panu jego zamierzał psotę uczynić. Drażnił go jeden i drugi, pierwszemu bluzę w strzępy potargał, drugiemu pogryzł kolano — w końcu zawarto z nim pokój, do którego był z chęcią usposobiony.

Psisko było olbrzymie i rozumne. Nie warknął ci, ani nie zaszczekał w chwili, kiedy głos komendanta spokój nakazał, kiedy jakaś niewyraźna była sytuacya. Wyczekująca cisza zaległa w pośród żołnierzy — pies jakby zrozumiał, że i on jest częścią oddziału, przysiadując na tylnich łapach, wyczekiwał spokojnie, co dalej będzie.

Żarcie miał dobre, ochłapy mięsa tłuste i chude, które żołnierze rzucali, wystarczały mu aż nadto. Ze tam czasem kurę lub gęś po drodze, gdy się nadarzyła sposobność, z figlów udusił i w kudłatym pysku przyniósł, nie był za to bity, gdyż i żołnierz nieraz korzystał z psiego polowania. W nagrodę Cezar dostawał miękkie kostki, łebek tego, co upolował, z móżdżkiem i po ugotowaniu czerwone łapy, które z zadowoleniem chrupał, ślipiami na wszystkie strony przewracając. Gryzł gęsi i kury więcej z amatorstwa niż z musu, gdyż, jak zaznaczyłem, żryć miał nader obficie. A że i pies rozrywki szuka, Cezara przeto rozrywką było duszenie koło chałupy złapanej kury lub gęsi.

Wymachując ogonem kręcił się koło kotłów, w któ-

rych gotowała się jego zdobycz, czekając niecierpliwie na należną mu porcyę „za znaleźne".

* * *

Po pewnej bitwie stoczonej przez Legiony wspólnie z armią węgierską, pod Marmarosz-Sziget, ruszył nasz batalion z powrotem do Huszt, aby się połączyć z pułkiem. Późną nocą, zmęczeni, przemoczeni, przymaszerowaliśmy do stacyi kolejowej, żołnierzy ulokowano w wagonach, jak również i wozy naszego trenu.

Praca ta trwała do piątej godziny rano, poczem pociąg ruszył w stronę Töröczköz. Na stacyi w Huszt pozostała tylko mała załoga i część intendantury.

W zamieszaniu ogólnem, zagubił się Cezar, Bastgen zaś zapomniał o nim zupełnie, zajęty wyczerpującą pracą nocną.

Siedząc w wagonie, przypomniał sobie o psie i pytać począł kolegów, czy nie wiedzą co o nim.

Nagle wzdłuż toru dało się słyszeć szczekanie. Odchylił Bastgen drzwi wagonu i zobaczył biegnącego wzdłuż toru Cezara, który wymachując ogonem, pędził żwawo, co chwila szczeknąwszy, jakby znak chciał dać, że jest i służby nie porzuca.

Jęzor czerwony ze zmęczenia z pyska wystawił, jednakże nie zwalniał w biegu.

— Cezar! Cezar! — zawołał Bastgen.

Oliwkowemi ślepiami spojrzał na stojącego pana w drzwiach wagonu, pyskiem pokręcił, zaszczekał i pędzić dalej począł.

Wreszcie stanął pociąg, Bastgen zeskoczył z wagonu, kudłate psisko z łapami na niego uderzyło, ucieszne skoki wyprawiając na powitanie.

Wywindowano go do wagonu, gdzie skacząc po kolei około żołnierzy, łasił się i przymilał.

— No, jest wasz przyjaciel! — odezwał się jeden z żołnierzy.

— No, tak — odparł Bastgen — trapiło mię to, gdzie psisko się podziało, ale teraz wszystko w porządku.

Zmęczony Cezar wyciągnął się na tornistrach, pysk podniósł do góry i ślipiami wodzić począł po obecnych, merdaniem ogona wyrażając najgłębsze swoje zadowolenie, że znalazł się pomiędzy swoimi.

* * *

Kapitanowi Januszajtisowi dodano dwa działka górskie z rozkazem powstrzymania Moskali, aż do zupełnego wycofania się Legionu z tych linii.

Natychmiast zatarasował przejście z Krzyworówni do Żabiego pluton podchorążego Smorawińskiego i przez dwa dni powstrzymywał nieprzyjaciela, mimo że nieustannym ogniem armatnim prali Moskale na pozycye Legionistów. Grad kul z karabinów maszynowych i zwyczajnych stali.

Tymczasem bataliony, wycofawszy się z zagrożonych pozycyi, natychmiast poczęły się szykować do dalszej akcyi, zmierzającej do oskrzydlenia pułków rosyjskich, zamierzających przedrzeć się przez pasmo Tatr.

Bez przerwy prawie trwające marsze, kiepskie odżywianie, nocowanie na szczytach gór w terenie wiecznego śniegu, przytem ciągła czujność wyczerpywać poczęła żołnierzy.

Parę razy nieraz w nocy zrywał się żołnierz do ataku z gorączką w ciele i rozprzężeniem nerwów, jednakże znosili to z podziwienia godną wytrwałością — prawie że zżyli się z tem i przyzwyczaili.

Jednakże zdarzały się wypadki, że przemęczony ten lub ów zasnął na pozycyi, otulony śniegiem jakby puchem białym, że w marszu niekiedy kolega osunął się na ziemię, zasypiając momentalnie.

Patrząc nieraz, jak na przemokłą ziemię z rozkoszą rzucali się żołnierze, z jaką lubością się wyciągali, choć wilgoć do szpiku dochodziła, miało się wrażenie, że to ludzie z kamienia lub stali.

A jednak sen to wielki mocarz.

Zgłodniały żołnierz do ust kawałek mięsiwa niosąc, w trakcie tego usypia. Komiczny to był widok siedzących, kiwających się postaci nad menażkami z dymiącym rosołem lub czarną kawą. Nie dziwota! Być parę dni w marszu, nie przespać parę nocy, wystarczy to aż nadto.

Zrywanie się podczas nocnej służby do ataku do tego stopnia rozprzęgło nerwy niektórym żołnierzom, że za lada szmerem zrywali się, jak opętani. Najmniejszy szmer drzewa, czy potoku był dla nich szeptem Moskali, kołysany wichrem krzaczek — podkradającym się nieprzyjacielem.

Podczas marszów utrapienie także było z maruderami. Wozy zajęte na amunicyę i prowiant, specyalnych zaś wozów dla maruderów nie było.

Stawali tedy rzędem, czekając na nadjeżdżający tren, a który zaś zdobyć nie mógł miejsca na wozie, lub podążyć za trenem, zostawał w tyle na łasce losu.

Dużo się przez to maruderów dostało do niewoli, a niejeden, zabłądziwszy w nieznaną okolicę, długo samodzielnie musiał się błąkać, póki nie wpadł w ręce Moskali, lub śladów swojej kompanii nie odszukał.

Że tam i niejeden mógł zabłąkany zginąć, czy to z głodu, czy też w przepaść nagle się otwierającą runąć, czy w podstępne na nizinach moczarzydło wpaść, to pewnem było.

Zdarzało się nieraz, że cały pluton dniami błądził, póki nie dotarł do kwatery. Z kompanii nieraz wielu żołnierzy brakowało, nikt nie wiedział, co z nimi jest — zabici, ranni, czy w niewoli. Po kilku dniach znajdowali się zagubieni, ze spieczonemi gorączką ustami, z wybladłą cerą, z obszarpanym płaszczem i ubraniem.

Ciekawe przytem epizody opowiadali.

— Dwa dni — opowiadał kolegom swoim w szpitalu Bastgen — po bitwie pod Nadwórną błąkałem się w lesie, odłączywszy się od oddziału. Pierwszego dnia pod wieczór, oryentując się odgłosem kanonady, grzmiącej na północno-wschodnim terenie walki, starałem się przedrzeć przez gęstwinę, aby odnaleźć jakikolwiek ślad naszego wojska. Przedarłem się przez gąszcze, zmęczony piąć się począłem w górę, która przedemną stanęła, drogę mi na niziny węgierskie zagradzając.

Przypuszczałem, że na północnym stoku łatwo natrafić mogę na patrol wywiadowczą, czy też sanitarną, z którąbym dotrzeć mógł do pułku.

Przypuszczenia jednakże okazały się mylne. — Zwalone armatnimi pociskami drzewa w poprzek drogi leżały, tak, że przechodzić przez nie musiałem, co znużyło mnie ogromnie i wyczerpało. Wreszcie dotarłem do szczytu. Brnąc w śniegu po pas, zamierzałem przejść na południowy stok góry, a stamtąd na niziny, gdzie według mego mniemania byłbym już bezpieczny. Jednakże góra ta ku południowi spadzistą była, a u podnóża jej potok górski płynął, którego szmer dochodził aż do mych uszu. Stałem chwilę bezradny. Noc ciemna, mglista, niebo zachmurzone skryło oblicze księżyca, nie przepuszczając przez chmury jasnych promieni.

Schodzić z góry — niebezpiecznie, gdyż łatwo w ciemności wpaść w przepaść, pozostać do rana, to także nie dobre. Wybrałem jednakowoż to ostatnie. Puszka konserw i ćwierć bochenka chleba chroniło mnie od głodu, a zimno jakoś się przetrzyma — pomyślałem. Odpiąłem koc od tornistra, pod drzewem go rozłożyłem, płaszczem się otuliwszy, usiłowałem przespać się trochę. Febra poczęła tłuc mną, zęby dzwoniły z zimna, po ciele ogniki od czasu do czasu poczęły przechodzić, senność ogarniała. Źle — pomyślałem wówczas — usnę na wieki. trzeba się ruszać, nie dać się zmożyć senności. Łopatą odgarnąłem śnieg wokoło drzewa, do mchu leśnego się dogrzebałem, poczem tańcząc, jak niedźwiedź na łańcuchu, odpędzałem senność i zimno.

Nagle w krzakach coś raptownie zaszeleściło. Porwałem za karabin, wpatrując się uważnie w tę stronę. Zamigotało coś w krzakach. Przypuszczając, że wilki mnie zwietrzyły, zmierzyłem w stronę krzaka.

Hau! Hau! — szczekanie dało się słyszeć i kudłaty Cezar z rozmachem wpadł na mnie, przewracając w kupę odgarniętego śniegu. Zanim wygramoliłem się stamtąd, oblizał mi twarz z całą dokładnością, pazurami podrapał po rękach.

Noc przepędziliśmy przytuleni do siebie, jakby dwaj najlepsi przyjaciele. Od cielska Cezara biło gorąco, które mnie rozgrzewało.

Rano dałem mu połowę z mych prowiantów, które z zadowoleniem pożarł, wylizał puszkę dokładnie jęzorem, poczem ruszyliśmy dalej. Cezar biegł przodem, węsząc, szukał drogi, jak gdyby chciał się odwdzięczyć i przysłużyć.

Ostrożnie schodząc na dół, dotarłem do szumiącego potoku, który w bród trzeba było przejść. — Podkasałem płaszcz, karabin ująłem w rękę i ruszyłem śmiało w wodę.

Cezar nie bardzo zadowolony był z kąpieli, jednakże wskoczył za mną do wody i parskając mordą na przeciwny brzeg wylazł, poczem oblizywał zmoczone kąpielą kudły.

Obmyłem twarz w potoku, krzepiąc się zimną, źródlaną wodą, następnie bacznie począłem nadsłuchiwać.

Kanonada trwała dalej.

Raz, jakby przedemną, drugi, jakby tuż za górą, z której co tylko zeszedłem, tak echo przynosiło wyraźne salwy kanonad. Rzegot karabinu maszynowego echem ginął w lesie, jakby maszyny parowej terkot.

Świsnąłem na psa, który węszyć coś począł w krzakach i ruszyłem dalej. Nagle Cezar zawarczał. Spojrzałem mu w ślepia. Oliwkowe ślepia zaognione były, jakby fosforem posmarowane. Zawarczał po raz drugi. Przypadłem za krzak, nieruchomo przywarłem do ziemi.

Ciszę przerwał łomot łamanych gałęzi, stuk butów o ziemię dawał znać, że patrol idzie.

Serce zabiło mi gwałtownie!

Jeśli nasza, skończona moja męka, jeśli nieprzyjacielska, wpadłem w paszczę. Postanowiłem bronić się do upadłego. Kilka wyrazów rosyjskich posłyszanych upewniły mnie, że to Moskale.

Bronić się będę, ale w tym wypadku, gdy mnie spostrzegą — leżąc w ukryciu przemyśliwałem.

Zapomniałem zupełnie o Cezarze. Ten leżąc koło mnie, począł warczeć groźnie. Mógł mnie zdradzić. Szarpnąłem go za sierść. Pies jakby zrozumiał, wyszczerzył kły, ślepia czerwienią mu zaszły i czekał cierpliwie. Było ich trzech. Ostrożnie rozglądając się na wszystkie strony, podchodzili ku mnie. Nie było czasu do namysłu. Pierwszego z nich wziąłem na cel, wypaliłem. Czy ręka mi zadrżała, czy też tak nerwy mną wstrząsnęły, żem chybił. Moskale przypadli do ziemi, poczęli zachodzić mi drogę. Dopełzłem do potoku, poczem błyskawicznym rzutem przeprawiłem się na drugą stronę, zostawiając Cezara na przeciwnym brzegu. Zobaczyli mnie przepływającego, posłali kilka kul, krzycząc, bym się poddał. Cezar usiłował pójść w moje ślady, jednakże stojący na brzegu sołdat zamierzył się na niego kolbą. Pies skoczył na żołnierza, kłami chwycił go za piersi, szarpiąc nim. To sprawiło zamieszanie pośród nieprzyjaciół, którzy pospieszyli koledze z pomocą, a tymczasem mnie udało się umknąć bezpiecznie. Gdyby nie to, żem nie miał naboi, byłbym zasłonięty strzelał do nich, a możliwe, że byłbym uratował Cezara. Tegoż dnia pod wieczór znalazłem się w Rokamezö, gdzie połączyłem się z moim oddziałem.

— A Cezar? — spytał jeden ze słuchaczy.

— Wierne psisko, widocznie padło pod bagnetami Moskali, co mnie wolność dało.





Komendant batalionu kapitan Wyrwa. **I. brygada I. Legionu w polu:** Porucznik Kostek.

I. brygada I. Legionu w polu.

Do zdjęć powyższych, dokonanych przez upełnomocnionego fotografa I. brygady I. Legionu, obywatela Langiera, prawie że niepotrzebne są wszelkie komentarze. Przewija się w nich całe bojowe życie tej świetnej i sławnej dziś brygady Piłsudskiego, widać wszystkie rodzaje broni i pracę ich wojenną i ich wojenne gospodarstwo.



I. brygada I. Legionu w polu: Brygadyer Józef Piłsudski.

Więc widać piechotę w okopach, jak zwartym szeregiem celuje do okopów wroga. Widać budowę tych okopów, w których żołnierz czuwać musi dzień i noc, wreszcie straż, wartę, tak charakterystyczną w ruchu i w geście.

Piechota I. brygady I. Legionu ma już dziś wielki i zasłużony rozgłos. Składa się ona bynajmniej nie z „pierwszorzędnego materyału ludzkiego". Wzrost jej jest nizki, kolumna to drobna postacią, lecz duchem wyniosła. Twarze żołnierzy nikłe, nerwowe, junackie i inteligentne. To nie znaczy, by każdy z tych piechurów miał maturę, broń Boże, lecz znaczy, że każdemu patrzy z oczu spryt i rozwaga.

Piechota ta umie się bić nadzwyczajnie, ze spokojem i męstwem, z uporem i siłą zdumiewającą. Tradycyę swą rozpoczęła pod Kielcami, gdzie opowiadali sobie Rosyanie o 300 Strzelcach, że — dużo ich, bardzo dużo, widzisz go tu, a on już tam hycnął i strzela... — strasznie ich dużo...

No tak, bo tych 300 biło się za tysiąc.

Jest to piechota gorąca, rasowa, która woli dwa dni ciężkiej bitwy od jednego dnia marszu. Ma ona za sobą jednak marsze historyczne — odwrót z Kielc, marsz z pod Krzywopłotów, wielkie chody pod Limanową. Ma za sobą straszliwe bitwy — Laski, Krzywopłoty, Łowczówek — a bitwy te jedynie zwiększają jej spoistość i powagę.



I. brygada I. Legionu w polu: Major Smigły, komendant I. pułku.

Teraz zaś spójrzcie na dywizyon kawaleryi I. brygady I. Legionu. Na czele jedzie Belina, a za nim jego szwadrony, jak głośny mur sławy tętniącej. Jest to kawalerya, której kto nie widział przy robocie, ten nie widział mistrzowskiej roboty. Belina umie swój oddział rozrzucić pysznym wachlarzem przed masę piechoty i nic się z promieni tego wa-





Podp. Sfinks Grzybowski. **I. brygada I. Legionu w polu:** Porucznik Litwinowicz.



I. brygada I. Legionu w polu: Karabin maszynowy na pozycyi.

chlarza nie wywinie. Kawalerya ta umie być kluczem do przyszłych pozycyi piechoty, zaś drogę, którą zamknie, nie otworzy pierwszy lepszy. Napad tej kawaleryi posiada te wszystkie tradycyjne cechy, znane z historyi polskiego oręża, jej podjazdy i wywiady są zawsze wzorem zręczności.

Kawaleryę i piechotę popierają majstrzy ognia — karabin maszynowy i armaty. Artylerya I. brygady, kierowana przez kapitana Brzozę, zyskała sobie miłość piechoty... Jest to największy rezultat, jaki mogła osiągnąć, jeśli się zważy, iż zwykle poszczególne rodzaje broni mają sobie tyle do wyrzucenia.

Piechota nasza wie, że tam za nią na pozycyach stoją te potwory śmiercią zionące i że kieruje nimi ręka wytrawna — że potężny głos tych armat nie zamilknie, póki jeden pluton jest w niebezpieczeństwie.

Tak samo, jak nie opuści szeregów karabin maszynowy, wykrzykujący w pośród bitwy swą straszliwą tabliczkę mnożenia śmierci.

Zaś żeby to wszystko dobrze szło i gładko, mu-



I. brygada I. Legionu w polu: Bicie bydła za pozycyami. W pośrodku podporucznik Młot.



I. brygada I. Legionu w polu: Batalion obywatela Sława.

szą saperzy tu mostek przerzucić, tam rów przekopać, ówdzie druty rozciągnąć, muszą prócz tego pracować wszystkie do wymogów wojny przykrojone funkcye gospodarcze.

Otóż w kartach tych i widokach dajemy przegląd broni wszelkiej i wszelkiego gospodarstwa, dajemy przegląd całokształtu życia tej brygady, która jest dziś radością i szczęściem swoich, zaś utrapieniem i nieszczęściem wrogów.

Juliusz Kaden.

Jeszcze o karcie chlebowej.

W poprzednim numerze zamieściliśmy illustracyę, przedstawiającą wierną podobiznę karty chlebowej jednodniowej, opiewającą na dwieście dziesięć gramów chleba, mającego zaspokoić głód przeciętnego Wiedeńczyka, dziś podajemy drugą, tygodniową, wydaną przez namiestnictwo morawskie.

Ofiarował nam ją pewien mieszkaniec Morawskiej Ostrawy, głodzący się stale i nie używający wcale ani chleba, ani mąki, zaopatrzoną też jest we wszystkie kupony, podczas gdy na poprzedniej brakowało dwu, zjedzonych prawdopodobnie przez właściciela.

Jak z niej widać, poszczególna osoba ma w tygodniu prawo, a nawet obowiązek, spożycia sześciuset trzydziestu gramów chleba, lub czterystu pięćdziesięciu gramów mąki, chleb zaś tamtejszy, jak się z wiarygodnego źródła dowiadujemy, jest tej samej zupełnie jakości, co sprzedawany obecnie



I. brygada I. Legionu w polu: Szeregowiec na straży w okopach nad Nidą.



I. brygada I. Legionu w polu: Podp. sztabu Fuksiewicz i dr. Zarski.



I. brygada I. Legionu w polu: Kapitanowie, Brzoza (1) i Sniadowski (2) na pozycyi

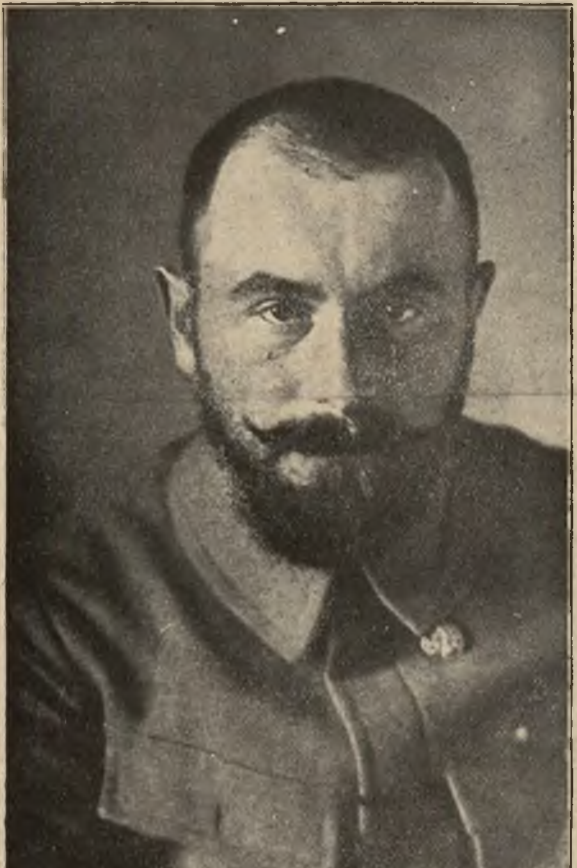
w Krakowie,

konaną, że każdy jej właściciel uprawniony jest w wojennym czasie do pobierania zupełnie za darmo przypadającej nań ilości chleba i mąki i długo trzeba było niektórym jednostkom tłumaczyć, że się mylą.





Sierżanci prowiantowi. I. brygada I. Legionu w polu: Rozdawanie chleba za frontem



I. brygada I. Legionu w polu: Major Smigły.

Wydanie kart chlebowych wprowadziło początkowo w błąd pewną część ludności, która była prze-

Kraków jest na razie w tem miłem położeniu, iż kart chlebowych nie posiada, o ile się więc ma



I. brygada I. Legionu w polu: Sztab: 1) podp. Fuksiewicz, 2) podp. Sulistrowski, 3) szef Sosnkowski, 4) major Trojanowski, 5) kapitan Piskor.

apetyt i pieniądze, można używać na chlebie. Wydano w swoim czasie przepisy, normujące sprzedaż i konsumcyę artykułów mącznych, aby zapobiedz brakowi tego niezbędnego środka spożywczego, jak nas jednak zapewniają, zapasy są zupełnie wystarczające i głodu obawiać się nie potrzebujemy.

Wynalazek wojenny naszego rodaka.

Z pośród różnorakich technicznych środków pomocnicych, jakimi posługiwały się nasze waleczne



I. brygada I. Legionu w polu: Kapitan Satyr, komendant VI. batalionu.

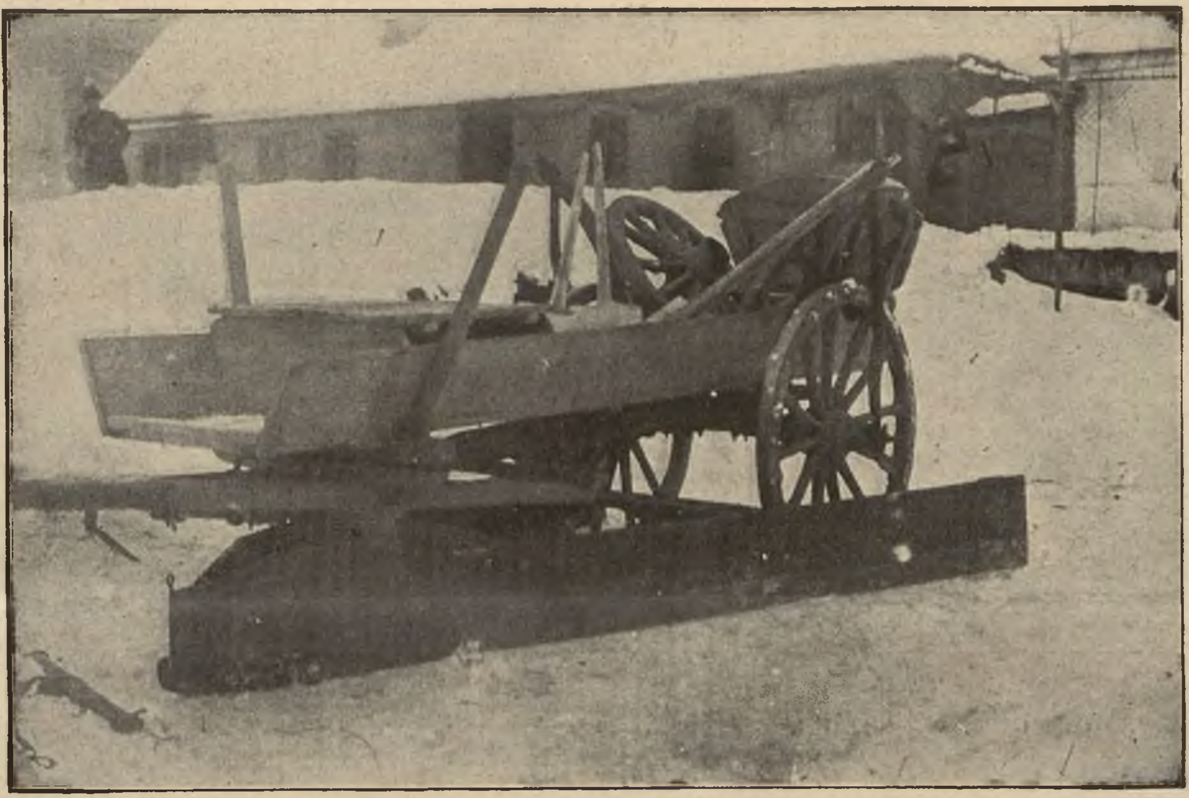
wojska w czasie kampanii zimowej, wybił się na pierwszy plan pług do śniegu systemu naszego rodaka, majora Władysława Kickiego.



I. brygada I. Legionu w polu: Kapitan sztabu Piskor.

Konstrukcya tego pługa jest nadzwyczaj prosta. Ze zwyczajnego wozu chłopskiego bowiem da się on sporządzić wraz z bardzo zręcznie pomyślanym przyrządem do zamiatania dróg i ulic.

Nadto wóz może być użyty w każdej chwili do transportu narzędzi rzemieślniczych wszelkiego rodzaju. Spełnia zatem potrójną przysługę i w każdej



Wynalazek wojenny naszego rodaka: Wóz jako pług do śniegu

porze roku może być z doskonałym skutkiem użyty. Aby w porze zimowej ułatwić przewożenie pługa,

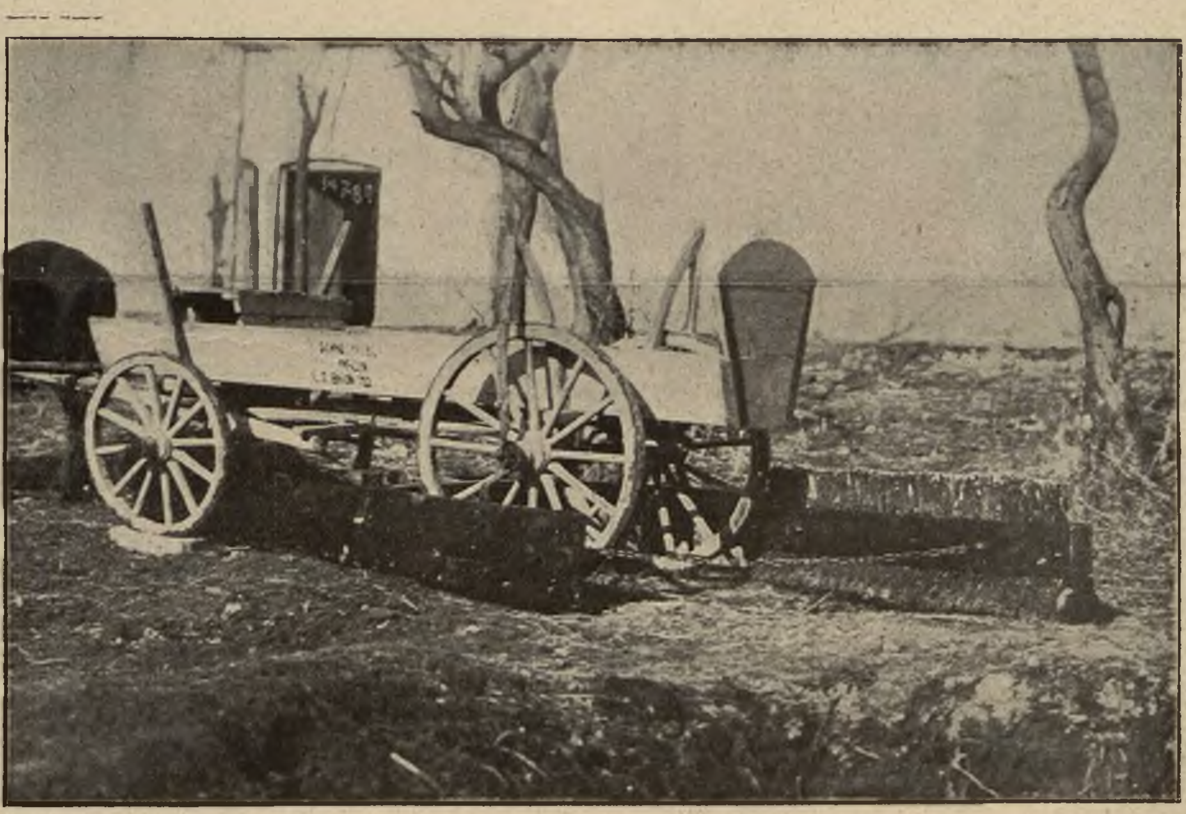


Wynalazek wojenny naszego rodaka: Wóz do transportu narzędzi.

ustawia się jego skrzydła równolegle do siebie i w ten sposób wóz zamienia się na sanie.

Wszystko się to dzieje w sposób szybki, dzięki nadzwyczaj szczęśliwie pomyślanemu mechanizmowi,

jak to widać z zamieszczonych w dzisiejszym numerze illustracyi.



Wynalazek wojenny naszego rodaka: Wóz z przyrządem do zamiatania.



I. brygada I. Legionu w polu: I. szwadron kawaleryi.



I. brygada I. Legionu w polu: Upełnomocniony fotograf I brygady Langier.

Nie potrzebujemy dodawać, że sprzęt taki jest nieodzownie potrzebnym w ruchach strategicznych armii. To też wynalazek majora Kickiego spotkał się z gorącem uznaniem naczelnego Kierownictwa armii, które go aprobowało i wprowadziło w życie, a należy przytem zaznaczyć, że wynalazca ofiarował swój pomysł do zastosowania go w wojsku na czas wojenny zupełnie bezinteresownie.



Z teatru wojny: Oznaczanie odległości do nieprzyjaciela zapomocą wstrzeliwania się.
(Prawo przedruku zastrzeżone).

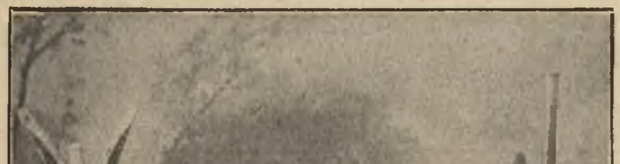
Legioniści w Karpatach.

Niejednokrotnie już pisaliśmy o trudach, które z niezwykłą wytrwałością znosili Legioniści drugiego i trzeciego pułku w Karpatach. Jakkolwiek sama walka na zakrytym terenie, w górach jest łatwiejszą, prowadzenie kampanii na takim terenie jest niezmiernie uciążliwe. Ciągłe wspinanie się po górach, w śniegu po pas, na nieznanych drogach, a przytem podczas silnych mrozów, panujących na tak znacznej wysokości, wymaga od żołnierzy niesłychanych wysiłków. A należy tu jeszcze zaznaczyć, że na takim terenie dowóz żywności jest utrudniony, skutkiem czego walczące tam wojska i pod tym względem są narażone na różne trudności.

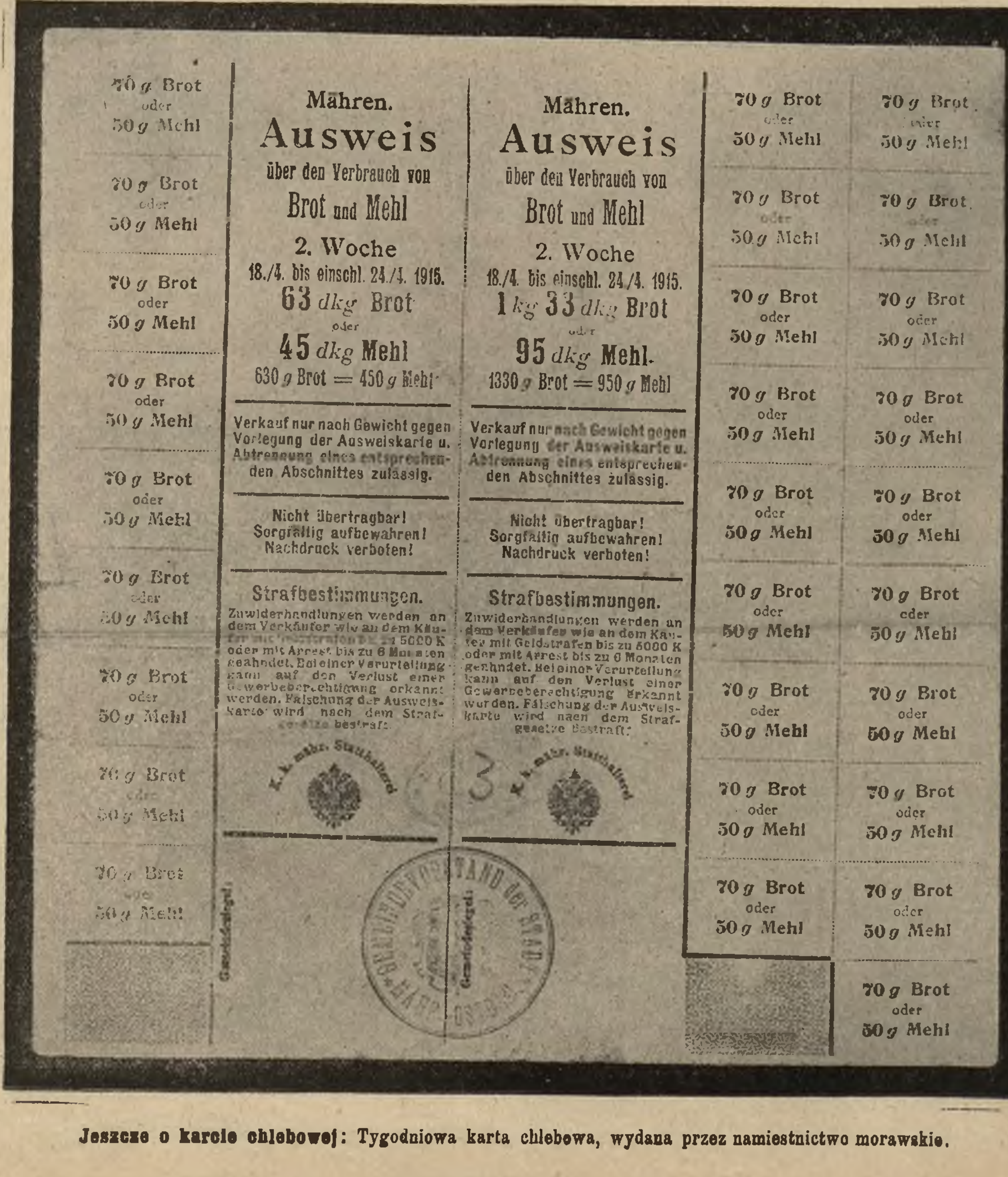
Kampania karpacka Legionów dowiodła jednak, że żołnierz polski potrafi nietylko bić się z brawurą, ale także znosić mężnie najcięższe trudy wojenne. Będzie też jedną z chlubniejszych kart w historyi oręża polskiego.

A trzeba tu jeszcze podkreślić, że w Karpaty poszły oddziały nowozaciężne, które dopiero w ogniu walki zdołały należycie się wyszkolić wojskowo i przystosować do szczególnych wymagań kampanii górskiej. Powstała też przy Legionie specyalna kompania narciarska — gdyż często w górach patrole muszą pełnić swą służbę na nartach.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy podobizny dwóch braci Juliana i Stefana Cyankiewiczów, służących właśnie w kompanii narciarskiej Legionu.



Legioniści w Karpatach: Bracia Julian i Stefan Cyankiewicze z kompanii narciarskiej Legionu.



Mähren.
Ausweis
über den Verbrauch von
Brot und Mehl
2. Woche
18./4. bis einschl. 24./4. 1915.
63 dkg Brot
oder
45 dkg Mehl
630 g Brot = 450 g Mehl
Verkauf nur nach Gewicht gegen Vorlegung der Ausweiskarte u. Abtrennung eines entsprechenden Abschnittes zulässig.
Nicht übertragbar! Sorgfältig aufbewahren! Nachdruck verboten!
Strafbestimmungen.
Zuwiderhandlungen werden an dem Verkäufer wie an dem Käufer mit Geldstrafen bis zu 5000 K oder mit Arrest bis zu 6 Monaten geahndet. Bei einer Verurteilung kann auf den Verlust einer Gewerbeberechtigung erkannt werden. Fälschung der Ausweiskarte wird nach dem Strafgesetze bestraft.
K. k. mähr. Statthalterei

Mähren.
Ausweis
über den Verbrauch von
Brot und Mehl
2. Woche
18./4. bis einschl. 24./4. 1915.
1 kg 33 dkg Brot
oder
95 dkg Mehl.
1330 g Brot = 950 g Mehl
Verkauf nur nach Gewicht gegen Vorlegung der Ausweiskarte u. Abtrennung eines entsprechenden Abschnittes zulässig.
Nicht übertragbar! Sorgfältig aufbewahren! Nachdruck verboten!
Strafbestimmungen.
Zuwiderhandlungen werden an dem Verkäufer wie an dem Käufer mit Geldstrafen bis zu 5000 K oder mit Arrest bis zu 6 Monaten geahndet. Bei einer Verurteilung kann auf den Verlust einer Gewerbeberechtigung erkannt werden. Fälschung der Ausweiskarte wird nach dem Strafgesetze bestraft.
K. k. mähr. Statthalterei
3

70 g Brot oder 50 g Mehl (×10, left column)
70 g Brot oder 50 g Mehl (×10, right column)
70 g Brot oder 50 g Mehl (×11, far right column)

Jeszcze o karcie chlebowej: Tygodniowa karta chlebowa, wydana przez namiestnictwo morawskie.





Rynek i ratusz w Dukli. **Pogrom Rosyan w Galicyi Zachodniej:** Rynek w Jaśle.





Z naszego wojenego szpitalnictwa:
Apteka polna i chemiczne laboratoryum ruchomego szpitala rezerwowego 1/11. Ochronne szczepienie przeciw tyfusowi w ruchomym szpitalu rezerwowym 1/11.



Oswobodzony Tarnów: Ulica Seminaryjska.

Kronika tygodniowa.

Jeśli poprzednia kronika nie była może tak majową, jak tego pragnąłem, nie moja w tem wina, ale owego pecha, z którym prawdopodobnie na ten świat przyszedłem. Ani się spostrzegłem, iż na dzień, w którym ją pisać rozpocząłem, wypadła uroczystość Znalezienia świętego Krzyża, którą z zasady powinni obchodzić wszyscy żonaci. Każdy z nich znalazł krzyż, który musi dźwigać na swych barkach aż do śmierci, chyba, że mu pomagają... przyjaciele domu. Dzień ten jest stanowczo feralnym i to pierwszego rzędu, ponieważ zaś do tego wypadł na poniedziałek, speszył mi cały tydzień.

Aczkolwiek nie jestem szewcem, obchodzę bardzo często tak zwany *blaumontag*, połączony zazwyczaj z lekkim „kocim wrzaskiem", co jest znowu następstwem niedzielnego próżnowania i politykowania przy bombce, nic też dziwnego, że robota w poniedziałek jakoś się nie klei.

Także ten tasiemiec, o którym na końcu kroniki wspomniałem, narobił mi kłopotu niemało. Zaraz we czwartek, zaledwie *Nowości Illustrowane* pojawiły się na mieście, opadło mnie kilku poetów najrozmaitszego kalibru z zapytaniem, czy przypadkowo którego z nich nie miałem na myśli. Jeden z nich wystosował nawet do mnie arkuszową epistołę, podziwiając me jasnowidzenie i narzekając na gada, który mu od lat kilku stale dokucza, a którego ani rusz się pozbyć.

Gdybym się nie obawiał zemsty lekarzy, którzy i tak sprzysięgli się na mnie za rady, jakich czasem bezinteresownie Czytelnikom udzielam, podałbym szanownemu wieszczowi niezawodny środek, przy którego pomocy, stanowczo uwolniłby się od swego prześladowcy. Swojego czasu zaaplikowałem go mej kochanej teściowej, która pozbyła się bez cierpień tasiemca, a ja stałem się jej jedynym spadkobiercą i odziedziczyłem po niej srebrne sitko do herbaty na trzydzieści sześć osób i rogowe okulary, przez które różowo zapatrywała się na świat Boży.

Myli się przecież autor listu, twierdząc, że tasiemiec dokucza specyalnie w czasie pełni, słyszałem bowiem od pewnego tasiemcowatego jegomościa, że potwór ten bryka najbardziej na nowiu i wtedy najłatwiej dać mu radę.

W każdym razie, jako miłosierny chrześcijanin, pomocnej ręki nie cofnę, choćbym miał potem za to i pokutować, zastrzegam się przecież, iż w danym wypadku prosiłbym o ofiarowanie okazu do jakiegoś muzeum, którego mógłby być pierwszorzędną ozdobą.

Bo chyba każdego ze zwiedzających zainteresowałoby bardzo, gdyby na pryncypalnem miejscu ujrzał słoik z napisem: „Tasiemiec, wyhodowany przez naszego znakomitego poetę pana X. Y."

Inny poeta złapał mnie onegdaj na Rynku i pyta obcesowo:

— Panie łaskawy! Czy pan miał na myśli mojego tasiemca?

— Skądże znowu! Nie wiedziałem o nim wcale! Na sprawach wewnętrznych pańskiego żywota nie znam się zupełnie... Ja pisałem o tasiemcu pewnego impresyonisty, który popełnia różne nastrojowe kawały właśnie wtedy, gdy on mu dokucza.

— Jaka szkoda! A ja byłem pewny, że to mowa o moim, który wraz ze mną przejdzie do historyi.

Z tego pokazuje się, że brać poetycka cierpi przeważnie na tę dokuczliwą słabość i teraz już się nie dziwię, dlaczego to wielu z nich pisze nieraz tak straszne rzeczy, że po przeczytaniu ich stają człowiekowi resztki włosów dęba na łysinie! Wszystkiemu winien ten szkaradny tasiemiec, nad którym niniejszem przechodzę do porządku dziennego, łatwo bowiem mógłby mnie kto posądzić, że i ja mam go także!

W poprzedniej kronice wspominałem o obchodzie pierwszego maja, którego w Krakowie nie było i o uroczystości Trzeciego Maja, przesuniętej na drugiego, zapomniałem przecież o najważniejszej rzeczy, to jest o nowej taryfie maksymalnej, którą magistrat krakowski wydał celem uczczenia tej podniosłej chwili.

Przez kilka dni chuchaliśmy więc w garść ze zimna, klnąc na Boreasza, który zwrócił się ku nam ze swym lodowatym podmuchem, za kilka dni czeka nas to samo, gdyż zbliżają się święci Pankracy, Serwacy i Bonifacy, mający piękny przydomek *Eismännerów*.

Pozatem należy z ubiegłego tygodnia zanotować bardzo radosne zdarzenie, o którem szeroko rozpisywały się nasze codzienne pisma wszelkich politycznych odcieni.

W stajni na torze wyścigowym, krowa rasy czysto fryzyjskiej, nosząca poetyczne imię Blanka, a oznaczona numerem 183, powiła dwojaczki, byczka i cieliczkę, które nazwano Wawelek i Wisełka. Co do tego ostatniego imienia to obawiam się, by przyszłej dostarczycielce mleka nie wyszło to na złe. *Nomen omen,* nasze krowy dają i tak bardzo wodniste mleko, choć Wisełką się nie nazywają.

Szczęślima mama i dzieciaczki mają się podobno bardzo dobrze. Rada miejska wysłała do niej deputacyę z podziękowaniem w imieniu ludności, mającej pozostać na wypadek zamknięcia twierdzy, iż tak wybitnie przyczyniła się do aprowizacyi miasta. Piękny ten przykład powinny i inne krówki naśladować, co im i nam może wyjść tylko na zdrowie, zwłaszcza, że cielęcina poszła bardzo w górę.

Sytuacya w każdym razie zmieniła się stanowczo na lepsze, usposobienie ludności, czekającej na marki ewakuacyjne, stało się już weselszem, politykuje się też bardziej zawzięcie, niż to miało miejsce przed kilku jeszcze dniami, gdyśmy z placu boju nie mieli żadnych pewnych wiadomości, a depesze poczty pantoflowej brzmiały bardzo poważnie. Moskalom strzepano szarawary pod Tarnowem i Duklą, Anglicy pogubili hajdawery, zmykając przed Niemcami w Belgii, a sam Asquith przyznał, że armia wielkobrytańska lepiej jest zaopatrzona w marmoladę, niż w amunicyę i wygrywa, ale nie bitwy, ale partye piłki nożnej. Japonia bawi się z Chinami w ciuciubabkę i posyła im ultimatum jedno za drugiem, wujaszek Sam z Ameryki mruga tylko jednem okiem w prawo, a drugiem w lewo i powiada, że na wojnie światowej dzięki swej neutralności robi złote interesy.

Ja tylko jestem wcale nie-majowo smutny, najbardziej zaś dotknęła mnie wiadomość, iż tegoroczną pokojową nagrodę przyznano papieżowi Benedyktowi, a nie mnie, choć ja jestem tak pokojowo usposobiony, że niech się schowa ś. p. Berta Suttner, lub pani Salomea Chwatowa!

A taki byłem pewny, że jeśli kiedy, to tego roku ona mnie nie minie, iż na to konto pożyczyłem już od jednego ze znajomych sto koron, których wobec tego nie będę mógł oddać!... Lecz ja temu nie jestem winien, ale komitet fundacyi Nobla, który chyba nie wie o tem, że w Krakowie wychodzą *Nowości Illustrowane* i żyje kronikarz, który jest prawdziwym apostołem pokoju i trąbi na jego cześć, ile mu tchu starczy, a kieszeń pozwoli!

I kto wie, czy wobec takiej czarnej niewdzięczności nie zmienię zasadniczo swych zapatrywań i nie stanę się zwolennikiem wojny, zwłaszcza, że, jak się zdaje, będę musiał przypasać do boku karabelę ojców i powędruję na plac boju, skoro przyjdzie nowe powołanie landszturmu.

Ale biada wam wtedy Moskale! Jak dziki lew — słowa pewnego młodzieńca, który opowiadał mi onegdaj o swych rycerskich przewagach rzucę się na wasze szeregi i będę prał, ale to tak, jak tylko kronikarz potrafi.

Przedewszystkiem zająłbym się zaś utworzeniem legionu sufrażystek-amazonek, na czele których postawiłbym naturalnie moją drogą Weronisię, niewiastę bardzo wojowniczo usposobioną. Ona dałaby radę i najdzielniejszemu kozuniowi, na języki zaś to nie radziłbym nawet próbować się z nią, bo ona każdego przegada. W kąt przed nią najznakomitszy karabin maszynowy, gdy rozpuści swą buzię!

Nawet i na szermierce zna się moja stara niezgorzej, ćwiczenia odbywa jednak nie na szpady lub florety, posługuje się natomiast pogrzebaczem albo trzepaczką. I używanie granatów ręcznych nie jest jej obcem, miejsce ich zastępuje zazwyczaj solniczka, lichtarz, pantofel, wogóle cokolwiek znajduje się pod ręką.

Ponieważ zaś kobiety są przeważnie stworzone jedna na obraz drugiej, czyli, innemi mówiąc słowy, wszystkie są bardzo wojowniczo usposobione, legia tego rodzaju byłaby nie lada nabytkiem. Z tem tylko mielibyśmy kłopot, jak je umundurować, aby to było według ostatniej mody. Co zaś najważniejsze, zyskalibyśmy wobec tego względy sufrażystek angielskich które musiałyby się chyba tylko cieszyć z tego, że tak honorujemy ich polskie koleżanki.

Jednego tylko wyobrazić sobie nie mogę, mianowicie, jak wyglądałby atak tego rodzaju dwu oddziałów, bo chyba w „dekungach" baby długoby nie wytrzymały! Sądzę, że nawet tak znakomity batalista, jak Wojciech Kossak, nie potrafiłby namalować jak się patrzy obrazu, przedstawiającego: Szarżę amazonek pani Pankhurst na oszańcowane pozycye panny Dulębianki. Przedewszystkiem zaś obraz taki musiałby być połączony z gramofonem, bo pędzlem chyba nie odda należycie wrzasków i krzyków.

Ze zaś wojna może już raz się skończy, za tem przemawiałaby jeneralna, jak już dziś widać, klęska Moskali w Galicyi zachodniej, do której pan Radko Dimitriew jakoś nie ma szczęścia, przewagi Niemców w Belgii i Francyi i zupełne zbaranienie Anglików, którzy, jak podają pisma codzienne, nie mogąc spotkać na morzu Niemieckiem nieprzyjacielskiej eskadry, aby nie wyjść z wprawy, urządzili walkę między swemi własnemi flotami. Odnieśli walne zwycięstwo, zatopiwszy kilka własnych okrętów, nikt więc chyba nie może wyrażać się ubliżająco o sprawności angielskich sił morskich, które dotąd nic ze swej dawnej sławy nie utraciły. Na najbliższy czas, o ile nic nie stanie na przeszkodzie, proponowany jest atak jeneralny angielskich łodzi podwodnych na własne pancerniki, by przekonać świat, że i one, obok niemieckich i austryackich, są też pierwszorzędnej wartości.

Trójporozumienie, aczkolwiek zdawało mu się, że Europę przykryje, jakby czapką i z pod niej wróble wybierze, zawiodło się na tem, wobec czego zrzedła mu mina i zmiękła rura, najbardziej zaś niezadowoleni są Anglicy, gdyż zaczyna się w ich kraju sezon piłki nożnej i tennisa, chcieliby więc być już na miejscu. Niemcy okazują wprawdzie chęć do rozegrania partyi... ale nie we football, a chyba nawet Anglikom nie może się podobać taka zabawa, gdzie miejsce piłek zastępują kule z moździerzy trzydziesto i czterdziesto centymetrowych.

To przynajmniej dobre, iż wiosna, jakby obraziła się na mnie za me poprzednie urągania, od dwu dni obdarza nas wcale przyzwoitą pogodą, co kazałoby się spodziewać, że chyba mrozu i śniegu już nie będzie. Mieliśmy nawet pierwszą burzę w dniu ósmego maja i to do tego z grzmotami, co powtarzam wszakże na odpowiedzialność innych pism krakowskich, sam bowiem w tym czasie spoczywałem już w łóżku i żadnych podejrzanych odgłosów nie słyszałem zupełnie.

A byłby już czas chyba, by się cieplej zrobiło!

Zagadki do nagrody.

Zadanie konikowe.
Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Idąc chodem konika, ułożyć znane polskie przysłowie.

```
    s     ę  i     b
    a  k  o  a  k  m
 u  r  i  e  n  a  b  a
 s  i  ł  u  a  o  ł  e
    p  p  b  o  i  ł
    o     i  t     p
```

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Mój Tomek wiek patrzy oczami.

Równanie.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko i imię jednego z najpopularniejszych dziś polskich powieściopisarzy, w drugiem i trzeciem tytuły dwu jego powieści.

$$\frac{a}{2}+\frac{b}{2}+\frac{c}{2}+\frac{d}{5}+\frac{e}{2}=x$$

$$\frac{f}{2}+\frac{g}{5}+\frac{h}{3}+\frac{i}{3}=y$$

$$\frac{j}{3}+\frac{k}{3}+\frac{l}{4}+\frac{m}{2}=z.$$

Znaczenie wyrazów: a) Miesiąc. b) Angielski urzędnik. c) Ssaki latające. d) Zołnierz. e) Drogi kamień f) Drapieżny ptak. g) Kościół. h) Wódka. i) Stróż haremu j) Nakrycie głowy. k) Załoga twierdzy. l) Trucizna. m) Ptak domowy.

Łamigłówka.
Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół utworzą w pierwszym rzędzie nazwisko polskiego, a w trzecim niemieckiego kronikarza.

```
 – o – i
ż – t –
 – a – k
e – i –
 – m – r
i – i –
```

Trójkąt magiczny.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko polskiego malarza.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Cieplarnia. 3. Rodzaj fortyfikacyi. 4. Kwiat. 5. Ryba 6. Droga ogrodowa. 7. Rzeka zapomnienia w podziemiu. 8. Moneta francuska. 9 Przyimek. 10. Samogłoska.

Kwadrat magiczny.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Podane litery uporządkować w ten sposób, aby utworzyły cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a k k
k k n n
ń o o o
o o r s
```

Znaczenie wyrazów: 1 Część domu 2. Mityczny władca polski. 3. Przydomek Owidyusza 4 Ryba.

Przekładanka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Litery poprzestawiać w ten sposób, aby utworzyły wyrazy o pewnem znaczeniu. Pierwszy szereg pionowy utworzy nazwisko, związane ściśle z Legionami polskimi

```
c e e i i k n n s u
a a c g h i i l o r
c e e i i ł n o s w
a d d e i l n n r y
e g k n n n o t t y
a a b c e o r s w y
e g i i l r s u w z
a e i m m n r s u y
c k m n o o r s u y
d d i i m n u u w y
```

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Gęsi na sianie Zuci kopią nogą ocet

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osób.

Z. Ż. LEGAR.

LEON K. CISZOK

JANUSZ W. TOROL.

EMIL Z. ŚNIREK.

T. N. AGREST.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Jana Lemańskiego:* **Zwierzyniec.** Poezye.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 18.

Przekładanka:

```
Z a k a m a r e k
I z r a e l i t a
E n c y k l i k a
L w o w i a n i n
I n d y g e n a t
N o w i c y u s z
S z c z e ż u j a
K r u c y f i k s
I n t e r c y z a
```

Równanie:
Chołodziec + infułat + kaski = **Chołński**
Kubły + Skamander + Wizytki + cetnar = **Błyskawice**
Bezżenność + Wyhowski + borowki + rulada = **Bez wyboru.**

Szarada: Pierścień.

Łamigłówka:

```
G a d
a s y
l o t
L a m
u d a
s e r.
```

Przysłowiówka: Droga do piekła jest dobremi chęciami wybrukowana.

Okienko:

```
H a b d a n k
a     u     a
b     r     l
d u r a z z o
a     z     r
n     z     y
k a l o r y a
```

Zadanie do przestawienia: Nim złodziej wołu skradnie, próbuje indyka.

Bilety wizytowe: Dragoman. Zakonnik Adjutant. Akrobata. Weterynarz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, A. Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor.-Ostrawa, S. Grodzicki Praga, L. Kinalski Praga, R. Królicki, Krościenko n. D., J. Ligęzianka Gołąbkowice.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Karpowicz, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Nowe wojenne znaczki pocztowe. Znaczny popyt, jakim cieszą się wśród korespondującej ludności Monarchii wydane z początkiem jesieni 1914 r. wojenne znaczki pocztowe, skłonił Ministeryum handlu do wydania nowych gatunków takich znaczków, z których dochód posłużyć ma jak poprzednich do zasilenia funduszu wsparć dla wdów i sierót po poległych wojownikach. Ponieważ nowe znaczki wojenne obejmują najbardziej rozpowszechnione gatunki t. j. znaczki 3, 5, 10, 20 i 35-halerzowe, a nadto w artystycznem ich wykonaniu uwzględniono najbardziej interesujące momenty zapasów wojennych, gdyż na 3 hal. znaczkach wojennych przedstawiona jest piechota w rowach strzeleckich, na 5 hal. zielonych znaczkach patrol kawaleryi, na 10 hal. czerwonych znaczkach 30·5 cm. działo bateryi motorowej, gotowe do strzału, na 20 hal. szaro-niebieskich znaczkach wielki okręt wojenny „Viribus unitis", a na 35 hal. niebieskich-ultramaryna znaczkach latawiec, przeto spodziewać się należy po tem nowem wydaniu wojennych znaczków pocztowych tem większego wzrostu wspomnianego funduszu wsparć dla sierót i wdów po wojownikach.

Sprzedawane one będą z naddatkami wynoszącymi: przy 3 hal. znaczkach 1 hal., przy 5 i 10 hal. znaczkach 2 hal., przy 20 i 35 hal. znaczkach 3 hal.

Wysokość naddatku zaznaczoną jest na nowych znaczkach w specyalnie na to przeznaczonem miejscu.

Dotychczasowe znaczki wojenne po 5 i 10 hal. tracą swą wartość dnia 30. czerwca 1915 r. i w tym dniu wycofane będą z obiegu. Wymiana nowych znaczków pocztowych, jakoteż zwrot pieniędzy za raz zakupione, acz nie zużyte znaczki nie są dopuszczalne.

Przy zakupnie znaczków tych w większej na raz ilości koszt ich jest nieco mniejszy, a mianowicie:

cały arkusz	(100 sztuk)	3	hal. znaczków	kosztuje K.	3.87
„	„ „	5	„ „	„ „	6·75
„	„ „	10	„ „	„ „	11·70
pół	„ 50 „	20	„ „	„ „	11·25
ćwierć	„ 25 „	35	„ „	„ „	9·35

Znaczki te sprzedają wszystkie urzędy pocztowe i sprzedawcy znaczków pocztowych. Nie należy wątpić, że zarówno cel szlachetny, jakoteż odmienny, a piękny wygląd znaczków pobudzą wszystkich korespondujących do kupowania przedewszystkiem tych znaczków pocztowych.

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny).

W rowie strzeleckim.

(Rozmowa dwu lekarzy.)

— Cóż to, kolega spi w rowie strzeleckim?

— Dlaczegóżbym miał nie spać? To przecież dawna moja godzina ordynacyjna, a wtedy spało mi się najlepiej!...

Landszturmista-pantofel.

— A jednak, powiadam ci, moja stara, choć czasem jest może zanadto popędliwa, kocha mnie przecież... Gdym po ogłoszeniu powołania szedł na wojnę, dała mi własnoręcznie klucz od bramy!...

Szczęśliwy.

Powiadają, że gdy ostatni oddział sufrażystek opuścił Wielką Brytanię, wielu z synów Albionu westchnęło z ulgą, mówiąc: „Nareszcie sam!"...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego